

Muszę powiedzieć, że uwielbiam udane koncerty muzyki chóralnej. Ludzki głos jest przecież pod wieloma względami najdoskonalszym instrumentem, zaś orkiestra złożona z takich głosów, jak można nazwać chór, potrafi naprawdę wiele. Zatem z niedzielnego (12.05.19) koncertu w NFM wyszedłem zachwycony i zadumany. Zauważyłem też, że okoliczne drzewa obrosły zielonymi nutami liści i śpiewały swój hymn do Słońca mimo pasma pochmurnych i deszczowych dni.

Gwiazdą koncertu była Sofi Jeannin prowadząca Chór NFM. Szwedzka artystka ma imponujące doświadczenie z chórami. Obecnie jest główną dyrygentką BBC Singers i dyrektorem muzycznym Maîtrise de Radio France. Wcześniej, od 2015 roku, pełniła funkcję dyrektora muzycznego Chœur de Radio France. Jej pewne i bardzo precyzyjne ruchy wskazywały to ogromne doświadczenie i dyscyplinę. Poszczególne części koncertu omawiała bardzo ciekawie po angielsku, zdradzając też świetną wymowę francuską. To ostatnie wyszło na jaw z uwagi na to, że koncert bazował na materiale szwedzkim i francuskim.



Sofi Jeannin / fot. Christophe Abramowitz

Koncert rozpoczął Sen nocy letniej Andersa Hillborga (*1954), utwór zatytułowany po szwedzku En midsommarnattsdröm. Fantastyczna kompozycja kojarzyła się z cienistym potężnym borem, nad którym nagle wzleciały ptaki. Później mieliśmy utwory Huga Alfvéna (1872–1960) zainspirowane muzyką ludową. Były to najprostsze z zaprezentowanych dzieł, ale urocze. Po Stjärntändningen Oskara Lindberga (1887–1955) usłyszeliśmy kilka dzieł największego szwedzkiego romantyka, Wilhelma Stenhammara (1871–1927) – Tre körvisor: I September, II I Seraillets Have, III Havde Jeg, O Havde Jeg En Dattersøn, O Ja!. Był to piękny, wysmakowany późny romantyzm, z lekkimi zapowiedziami quasi – Straussowskiego modernizmu. Doskonała muzyka, szkoda, że tak rzadko w Polsce wykonywana. Chór NFM pięknie zaiskrzył się nastrojami i barwami, ja zaś pomyślałem, że skoro pojawiają się w Polsce przedsięwzięcia mające na celu popularyzację wielkiego kompozytora duńskiego Nielsena, warto

by też do nich dołączyć Stenhammara. W końcu nie tylko Griegiem i Sibeliusiem skandynawski romantyzm żyje.

Ale w części szwedzkiej koncertu jeszcze bardziej inspirowały mnie do muzycznych marzeń dzieła bardziej współczesne. Kończące skandynawską część koncertu Credo Bo Hanssona (*1950) było pełne narastającego ruchu, wyraziste i żywe. Świetne było użycie w utworze fortepianu, grającego niejako brudny, ostinatowy kontrapunkt dla jaśniejących głosów sugestywnego chóru. Pianistce Katarzynie Neugebauer-Jastrzębskiej należą się wielkie wyrazy uznania. Grała dźwiękiem mocnym, a jednocześnie bardzo bogatym dynamicznie i wyrazowo. Dawno już nie słyszałem tak dobrego, nie solowego użycia fortepianu.

Część francuską rozpoczął majestatyczny i pełen wewnętrznej siły Hymne au soleil Lili Boulanger (1893–1918). Jej siostra, Nadia Boulanger stworzyła całą epokę, kształcąc licznych neoklasycystycznych kompozytorów z całego świata niejako w hołdzie przedwcześnie zmarłej kompozytorce. Lilia Boulanger zmarła w wieku 24 lat, ale do tego czasu zdołała zdobyć Prix de Rome, o której niedawno opowiadał mi przezabawnie i z pasją sam Berlioz, dzięki jego wydanym niedawno pamiętnikom. Hymn do Słońca to dzieło fascynujące. Aż trudno uwierzyć, że XX wiecznemu twórcy udało się uzyskać tak szczery wyraz zachwyty poprzez muzykę. Chór NFM i Katarzyna Neugebauer-Jastrzębska dali się ponieść tej energii młodej kompozytorki prosto w gwiazdy, a raczej w gwiazdę, bo to przecież o Słońce chodzi...

Po słonecznym uniesieniu przyszedł czas na płodnego Francisca Poulenca (1899–1963), którego współcześni krytycy określali mianem „w połowie mnicha, w połowie łotra”. Najpierw więc był mnich z Salve Regina, później zaś łotr z Siedmioma pieśniami opartymi na poezji fowistyczno – symbolistycznego

Apollinaire'a i dadaistyczno – symbolistycznego Paula Eluarda.

Salve Regina oddał hołd warsztatowi kompozytora, zaś siedem pieśni ukazało mocny związek Poulenca z ówczesną kulturą francuską. O ile Apollinaire brzmiał tak, jakby jego wspaniałe wiersze bez tej muzyki nie były po prostu możliwe, o tyle Eluard prosiłby zapewne o bardziej śmiały, nietonalny język muzyczny. Lecz Poulenc był wówczas człowiekiem – instytucją i chyba nie mogło to brzmieć inaczej. Chór NFM nadał bardzo sugestywną ekspresję znaczeniowym łamańcom wielkich poetów. Znając francuski mogłem po prostu z radością zatonać w tym oceanie dźwięków i snów. Nawet osoba odpowiedzialna za przesuwanie napisów świetnie znała francuski, co nie zawsze się zdarza przy prezentacji muzyki z tekstem w NFM. Zatem i ten drobiazg muszę pochwalić!

Na koniec znów wróciliśmy do romantyzmu i to jedyne w swoim rodzaju. Uszom naszym ukazał się świat Gabriela Faure (a była właśnie 174 rocznica jego urodzin), znanego niesłusznie głównie za sprawą swego doskonałego Requiem i kilku utworów kameralnych. A przecież wszystkie dzieła chóralne Faurego, jakie dane mi było usłyszeć, to dzieła piękne i bardzo oryginalne w swoim romantyzmie. Ten romantyzm jest jakby bliżej ech skal modalnych, rodem jeszcze z chorału gregoriańskiego, a raczej gallikańskiego, bo o Francji tu mowa... Niepowtarzalny jest też elegijno – liryczny ton muzyki chóralnej francuskiego twórcy. Usłyszeliśmy Madrigal op. 35 i Cantique de Jean Racine op. 11 (powtórzoną jeszcze na bis). W fortepianie, który ciągle był w najlepszej formie, odezwały się jakby echa Chopina. Chór NFM popłynął w beczynie tej muzyki daleko w stronę światła. To był piękny koncert, zasłużone oklaski zdawały się nie mieć końca.